

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 25

WĄBRZEŻNO, DNIA 5 PAŹDZIERNIKA 1935 ROKU

ROK 5

Suknia z perłami

Dawno, dawno temu żył pewien bardzo bogaty król, który miał dwie córki. Obie były piękne i młode. Nazywały się Różyczka i Irena.

Różyczkę wszyscy ludzie kochali i szanowali, bo księżniczka miała bardzo dobre serduszko, opiekowała się biednymi i chorymi i rozdawała im jedzenie i pieniądze. Często szkatułka jej była pusta, to też musiała zwracać się o zasiłek do swego królewskiego ojca. Irena była zupełnie przeciwieństwem siostry, wydawała wszystko na stroje, była próżna i zawistna, a ponieważ zazdrościła popularności siostrze, więc przekonała ojca, że Różyczka, dając pieniądze biedakom, popiera ich lenistwo. Stary król, który był trochę zniedołężniały, usłuchał rad niedobrej Ireny i nie pozwolił Różyczce dawać nikomu pieniędzy. — Księżniczka bardzo płakała z tego powodu, ale cóż miała robić, opiekowała się jednak nadal biednymi, pielęgnując chorych i starając się ulżyć im w miarę swoich możliwości.

Pewnego dnia odwiedziła ubogą kobietę, która leżała śmiertelnie chora, a jej sześcioro dzieci płakało z przerażenia i głodu. Dobra księżniczka nie mogła obojętnie patrzeć na ich nędzę. Pobiegła do pałacu i pokryjomu odpruła ze swojej najpiękniejszej sukni wszystko złoto i perły, jakimi ta biała, wspaniała szata była ozdobiona. Sprzedała perły, a pieniądze zniosła biedaczce.

Wkrótce potem na dwór królewski przyjechał bogaty królewicz, który miał wybrać sobie żonę spośród dwóch księżniczek. Stary król wydał bal na jego cześć i kazał Różyczce włożyć tę białą sukienkę z perłami. Księżniczka była przerażona, bo lekła się gniewu ojca. Co robić?

Kiedy tak siedziała smutna, oznajmiono jej, że jakaś stara, biedna kobieta z dwojgiem dzieci chce się z nią widzieć. Różyczka kazała przyprowadzić ją do siebie. Kobieta prosiła o trochę pieniędzy, bo nie miała co dać dzieciom do jedzenia. Rzeczywiście trójka była obdarta i wynędzniała. — Księżniczka wzięła dzieci na kolana, nie bacząc, że brudne rączki biedaków powalały jej białą, skromną sukienkę



Młyn nad rodą

i tak już pozbawioną ozdób. Niestety Różyczka nie mogła już im nic pomóc, bo sama już nic nie posiadała. Ale przypomniała sobie, że na głowie ma złoty djadem, ostatni klejnot, jaki jej został. Zdjęła go czempredzej i rzekła ofiarując go starej kobiecie:

— Macie to i sprzedajcie, za to ubierzecie i nakarmicie siebie i dzieci!

Nagle stara kobieta zmieniła się w przesłiczną wróżkę. Zdumiona

księżniczka zobaczyła, że jej pobrudzona sukienka pokryła się znowu perłami i złotem, a wróżka powiedziała do niej:

— Jestem wróżką miłosierdzia! Te perły, które widzisz na swojej szacie, to są łzy wdzięczności wszystkich tych, których poratowałaś w nieszczęściu. W nagrodę dziś na balu będziesz wyglądała najpiękniej ze wszystkich!

Różaniec

Lubię odmawiać modlitwy różańca.
Piękne to modły, z słów Boskich złożone.
Proste, a jednak pobożnie zmówione,
Często wzruszają sumienie zaprzańca.

Kocham te barwne paciorki różańca.
Są to zaiste modlitwy wcielone,
Które wciąż wiją różaną koronę
Z świętych tajemnic Boskiego Zesłańca.

Podczas gdy usta zmwawiają pacierze:
Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo i Wierzę...
Dusza ulata w krainę Chrystusa.

Flacząc za grzechy nad grobem Jezusa,
Woła do Boga ze łzami i skruczą;
Zmiłuj się, Ojcze i Synu i Duchu.

Józef Stańczewski

Czyn chwalebny

Dnia 24 października 1812 r. pierwszy korpus wojska francuskiego, otrzymawszy rozkaz opuszczenia Moskwy, na czas przybył do Miłosławicz, aby wziąć udział w bitwie, stoczonej przez księcia Eugenjusza, wice-króla włoskiego, na czele 4-go korpusu przeciw zjednoczonym siłom armji nieprzyjacielskiej. Pułkownik Kobyliński, adjutant marszałka Dawoust, wysłany został z rozkazem. Gdy przejeżdżał linję bojową, kula nieprzyjaciela zwała go z konia.

Wieczorem tego pamiętnego dnia, miasteczko Miłosławicze, kilka razy odbierane, znów opuszczane, dostało się nakoniec w ręce nasze.

Gdy marszałek objeżdżał plac boju po bitwie, człowiek obłany krwią, podnosząc się z pod kupy trupów, odezwał się:

— Koledzy, czy dacie mi zginąć?

Był to pułkownik Kobyliński, o którym sądzono, że w zamieszaniu bojowym dostał się w niewolę nieprzyjacielską. Natychmiast eskorta marszałka zrobiła nosze z broni, leżącej na pobojowisku, i oddano chorego staraniom lekarzy wojskowych. Niestety, chirurg, obejrzawszy ranę, wzrokiem dał poznać marszałkowi grożące wielkie niebezpieczeństwo. Po odbytej naradzie zebranych lekarzy orzeczono, że pułkownik Kobyliński nie może być inaczej uratowany, jak przez odjęcie nogi, którą kula armatnia urwała już do kolana. Co żywo wzięto się zatem do bolesnej operacji, a pułkownik, przyciskając do serca rękę wodza, powtórnie stracił zmysły.

Nazajutrz otrzymał marszałek rozkaz, by opuścić jaknajspieszniej drogę, wiodącą do Kaługi, a cofać się drogą ku Wilnu, którą obrała cała armja. Już wojsko marszałka rozpoczęło marsz odwrotny, gdy oficer wy-

ślany dla dowiedzenia się o zdrowiu Kobylińskiego, przyniósł pocieszającą wiadomość, że pułkownik wytrzymałwszy bóle, żyje.

Ponieważ ambulanse, zostawione poza korpusem, inną zupełnie drogą szły ku Wilnu, a bagaże wszelkie z rozkazu cesarskiego dla ułatwienia marszu zostały spalone, cóż więc było robić z nieszczęśliwym Kobylińskim? Los jego mocno zajmował marszałka. Stanąwszy tedy przed jedną kompanją grenadjerską, temi słowy przemówił:

— Żołnierze! Mój adjutant, pułkownik Kobyliński, od kuli armatniej utracił nogę. Wam go oddaję i polecam waszym staraniom. Pilnujcie go, jak pilnujecie waszej chorągwi.

W kilka minut pułkownik Kobyliński, umieszczony na noszach, znajdował się w pośrodku kompanji, a ciągle starania i przychylność żołnierzy w ciągu marszu krzepiły go nadzieją, że odzyska zdrowie.

Przez kilka dni pochód korpusu odbywał się w porządku, lecz w miarę wrażliwego zimna i głodu pokazywały się już początki rozstroju i nędzy. Kompanja grenadjerska szła z wolna prawie sama jedna wśród niedobitków armji, zachowując porządek. Co chwila musiała zatrzymywać się i dla odpędzenia kawalerji nieprzyjacielskiej, napastującej ją wśród okrzyków: „Hura!” — otaczać rannego kołem lub też szybkim atakiem przebijając się przez kupy nieprzyjacielskie; zawsze z należytem spokojem, męstwem i odwagą nieustraszoną.

Gdy w całej armji największy panował nieład, ta kompanja składała ciągle dowody karności i poświęcenia. Czemuż to przypisać? Zepewne tej po części przyczynie, że już nie szło im o własne życie, ale pamiętne były każdemu słowa, wyrzeczone przez marszałka.

Nawet po kilkotygodniowym marszu, w największej biedzie i nędzy, poczciwi grenadjery nie chcieli słuchać próśb pułkownika, który sprzykrzywszy sobie takie życie, błagał ich ze złożonymi rękoma, ażeby go zostawili na drodze.

— Pułkowniku! — odpowiadali starzy wosacze — żywego lub umarłego musimy cię jemu oddać, taki bowiem mamy rozkaz marszałka. Resztę oddajemy woli i opiece Najwyższego.

Tymczasem coraz większe mrozy, śniegi i nędza umniejszały tę bohaterką kompanję, tak, że przybliżając się do Wilna, liczyła już tylko pięciu grenadjerów, którzy kolejno niesli pułkownika.

— Nareszcie, wyszedłszy na górę; ujrzeni z niej szeregi murowanych domów. To było Wilno, owa ziemia obiecana, ze swemi rozkoszami, tyle pożądanymi, nadzieją dostania garści słomy i kawałka chleba. Otucha wstąpiła w serca ostatnich pięciu grenadjerów. Niestety jednak, tak byli osłabieni, że trzech padło zaraz bez zmysłów, później jeszcze jeden. Wreszcie ostatni z nich, nie odstępując nieszczęśliwego pułkownika, a nie mogąc go sam udźwignąć, ciągnął z góry za sobą nosze, na których ranny leżał i tak wciągnął drogi ciężar do miasta. Tutaj dopomogli mu nadchodzący żołnierze. Zaniesiono pułkownika do małego domu, w którym była główna kwatera marszałka Dawoust. Marszałek otrzymał zawiadomienie, że kompanja grenadjerska, której powierzył pułkownika Kobylińskiego, uczyniwszy zadość rozkazom, uprasza, ażeby mogła mu go przedstawić. Marszałek wyszedł natychmiast do nich.

— Gdzie mój adjutant? — pyta.

— Tu — odpowiadają.

— A kompanja?

Tu, mój marszałku.

— Pytam o kompanję? — powtórzył marszałek.

— Tutaj — odpowiada grenadjer, wskazując na siebie.

— A twoi koledzy?

— Tam, w śniegach!

Marszałek ze łzami w oczach uściłskal grenadjera, którego nazwiska nie przechowała nam historia.



Trębacz

Moja trąbka ślicznie gra:

Ra, ta, ta, ra, ta, ta.

Moja trąbka głośno brzmi:

Ri, ti, ti, ri, ti, ti.

Dziwują się mile dzieci,

Skąd to wdzięczne granie leci?

Nadstawiły uszka oba,

Tak im granie się podoba:

Chwieje wietrzyk bujną trawą,

Niesie piosnkę w lewo, w prawo,

Aż gdzieś w dali echo gra:

Ra, ta, ta, ra, ta, ta.

Do Świętej Teresy OD DZIECIĄTKA JEZUS



Witaj dziedziczko królestwa Bożego,
Cicha czicielko Boskiego Dziecięcia,
Któreś kochała nad ojca łasnego.

Witaj prześlizna nad wszelkie pojęcia
Liljo syjońska z Bożego ogrodu,
Kędy woniejesz dla Pana i Księcia

Witaj cudowna jutrzenko Zachodu.
Której promieni nie zgasić nie zdoła,
Tyś jest prawdziwą dla świata osłodą.

Witaj ozdobo świętego Kościoła
Godna mieszkanko szczytnego Karmelu,
Która czystością przewyższasz anioła.

Święta Tereso Małego Jezusa,
Spuść nam spragnionym twój wonny
deszcz róży.
Aby odeszła nas wszelka pokusa
Aż do skończenia tej ziemskiej podróży.
JÓZEF STAŃCZEWSKI.

Z ŻYCIA NIEMOWLĄT AFRYKAŃSKICH.

Do ukończenia trzech lat niemowlęta w Afryce stałą swą siedzibę mają na silnym grzbiecie własnej rodzicielki. Następnie ojciec kupuje małeństwo rzemyki z dzwoneczkami i przypina mu je do nóg. — I pocóż? — Żeby nie zginęło. Matka bowiem słyszy nawet z oddali swe dziecko dzwoniące bezustannie, więc może spokojnie oddawać się zajęciom domowym.

Dziecko zaś, choćby nie chciało chodzić, uczyni to z miłości dla muzyki tych dzwoneczków, przeto z łatwością uczy się wprawiać w ruch swe wątle nóżka...

Ognisko pod lasem

Był dziwnie chłodny dzień jesienny. Dzieci wybrały się na grzyby, bo po kilku dniach deszczu spodziewały się pięknego zbioru. I co prawda, miały już pełen koszyk prawdziwych grzybów! Nie mogły się nacieszyć, takie wszystkie piękne, zdrowe, młode pachnące. Albo będzie jutro pyszna potrawa na obiad, albo macezka uszury je na zimę.

Ale zbierając grzyby, zapomnieli, że dzień się skończy. — Niebo pochmurne, słońca ani widać, wiatr taki przejmujący, coraz ciemniej. Chuchają dzieci w rączyny i śpieszą, żeby się ogrzać ruchem.

Aż tutaj coś błysnęło pomiędzy krzakami. Las się kończy, a na polu niedaleko pastuszkowie rozpalili wielki ogień. Bucha czerwony płomień, dym wzbija się w górę, na sam widok ciepłej się robi.

— Hop! hop! Jędrak, Antek, Stacho! — zawołał Kazio głośno.

Za chwilę wszyscy siedzieli przy ognisku, zapomnieli o chmurach, zimnie i nadchodzącej nocy, tak tu miło, ciepło i dobrze.

— Ziemniaki pieczemy! — uśmiecha się Antek. — Zaraz będą gotowe. Ziemniaki zapachniały wszystkim: już musiały się upiec, dalej do nich!

Ach, jak smakują pieczone ziemniaki przy płonącym ognisku w polu! Dzieciom się wydawało, że nigdy w życiu nie jadły nic równie wybornego.

Ogrzane, nakarmione, podziękowały za gościnność i wróciły do domu, uszczęśliwione i wesole.

Cierpliwość

„Co jest największą siłą na świecie?” zapytał raz pewnego prof. Forster swoich uczniów. Wnet nad tem pytaniem rozwinęła się bardzo interesująca i ożywiona dyskusja.

Ostatecznie orzeczenie wskazywało na elektryczność, która przebija góry, pędzi pociągi, statki, usuwa ciemności, znosi przestrzenie, człowiekowi pozwala na podobieństwo ptaka szybować w przestworzach. Profesor jednakże odpowiedział: Także w Troi, powszechnem było mniemanie, że Hektor jest najsilniejszym z ludzi; ale tylko dopóty, dopóki nie został pokonany przez Achilleusa.

Od chwili, gdy ktoś zostanie pokonanym, przestaje być najmocniejszym. Otóż, czyż, coś podobnego nie zaszło z elektrycznością —

Człowiek ją pokonał i ujarzmił: siła więc jego góruje nad elektrycznością. Cóż więc będzie największą

siłą! Myśl człowieka? Także nie, bo męczy się, nuży i niknie. Inna jeszcze mieszka w nim moc, ustawicznie pobudzająca do wysiłku i czynu, a jest nią — wola, **cierpliwość**, panowania nad sobą. — Tak jest w istocie; na tym świecie można dokonać wielu rzeczy siłą woli, a gdy są trudne i przykre, wtedy z pomocą przychodzi cierpliwość...

Cierpliwość jest prawdziwą potęgą i siłą...

JAK WRÓZYĆ POGODĘ BEZ BAROMETRA?

Przyrodnicy przez długie badania nad pajakiem doszli do niezaprzeczonego wniosku, że gdy pajak zatacza małe koła i snuje gęstą siatkę można być pewnym, iż wkrótce nadejdą sloty. — Przeciwnie, gdy się zanosi na długą pogodę, pajaki zakreślają wielkie koła i tkają bardzo rzadką pajęczynę. — Często można także zobaczyć jak pajak snuje podobne przedziwa w czasie deszczu, co oczywiście oznacza, że za niedługo nastanie pogoda. — Kiedy zaś praca jest zmienną, to znaczy: zaczyna koła wielkie i przechodzi nagle do małych, lub naodwrot, a przy tkaniu raz robi duże a drugi raz małe oczka, to dowodzi, że pogoda będzie niestała.

Pszczołka i gołąbek

Wpadła w strumyk pszczołka mała,
Skrzydółkami trzepotała,
Już w nich siłę utraciła,
O, w jakimże strachu była!
Gołąbeczek śnieżnopióry,
Na zieloną łódkę siada;
Spuszcza listek... Pszczołka rada
Na zielaną łódkę siada;
I uleciał owad mały.
Nikt o swem nieszczęściu nie wie.
Jakoś wkrótce gołąbek siadł sobie na drzewie,
Spokojny, szczęśliwy!
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata.
Pszczołka przylata.
Utnie go żądłem w rękę, strzał ptaszynę mija.
Ocalona, swobodnie w powietrze się wzbija.
St. Jachowicz.

ILE LAT ŻYJĄ DRZEWA?

Na podstawie specjalnych obserwacji stwierdzono, iż do najbardziej sędziwego wieku dochodzą świerki, które żyją przeciętnie do 700 lat. — Z kolei następują jodły, które osiągną przeciętnie 425 lat życia, dalej palmy, dochodzą przeciętnie 415 lat, dęby, żyjące przeciętnie 300 lat, modrzew 275 lat, oraz buki, żyjąca przeciętnie 245 lat. Ponadto 100 lat żyją brzoza, jesion, wiąz i bez.

Radjo dla dzieci

REPORTAŻ ZE STATKU „PIŁSUDSKI“.

Dnia 7 października (poniedziałek) o godzinie 18,30 usłyszą dzieci niezwykle interesujący reportaż o naszym najwspanialszym transatlantyckim statku: budowie, wodowaniu i pierwszej podróży z Triestu do Gdyni. Reportaż wygłosi architekt Lech Niemojewski, jeden z twórców m/s „Piłsudskiego“ i uczestnik pierwszej podróży. Aktualny temat napewno zwabi do słuchawek i głośników liczne rzesze naszej młodzieży.

BABIE LATO.

Dnia 8 października tj. we wtorek o godzinie 12,15 w ramach audycji szkolnej usłyszą dzieci młodsze śliczne opowiadanie Ewy Jzelsburg-Zarembiny o przygod. i kłopotach „Małego zajączka“, który snuje srebrne nitki babiego lata. Opowiadanie urozmaica wdzięczne piosenki kompozycji Władysł. Macury.

DRUGA ROZMOWA MAJSTER-KLEPKI Z LEPI-GLINĄ.

Dzięki „Wujciowi Kaziowi“ z Poznania, mali radjosluchacze z całej Polski mogą doskonalić się w swoich pierwszych próbach robienia czegoś pożytecznego. Kilka tygodni temu zapoznali się oni ze sposobami sporządzenia sobie samemu hektografu. Zapewne przy próbach wykonywania recepty „Wujaszka Kazia“ spotkała małych słuchaczy niejedna katastrofa w rodzaju n. p. poplamienia atramentem nowego ubrania. Trudno — „gdzie konie kują, tam iskry lecieć muszą“. Nie trzeba się więc zrażać temi niepowodzeniami, a w dalszym ciągu słuchać pilnie radja, bo w **środe, dnia 9 października o godzinie 16-tej** usłyszycie dzieci drugą rozmowę Majster-Klepki z Lepi-Gliną. Opowiedzą oni tym razem, jak się zabrać do budowy latawca. Należy uważać pilnie, żeby w kilka dni po audycji „Wujcio Kazio“ mógł otrzymać sprawozdanie z pracy swych słuchaczy w formie fotografii wykonanych latawców.

GODZINA IDZIE NA SPACER...

Będzie to wesola audycja dla dzieci, według pomysłu trzyletniego chłopczyka, pióra J. Tota z piosenkami. „Godzina idzie na spacer“, zamiast nówek ma wskazówki i wiedzie ze sobą ludzką pracę, ludzkie rozrywki, radości dzieci i ich smutki. Nic nie potrafi wstrzymać godziny przed tym spacerem, nawet pomysłowość Szczepka i Tońka, nawet figle Hipka. W audycji tej, która odbędzie się **dnia 12 października (sobota) o godz. 18-ej** udział biorą Szczepko i Tońko, Hipek oraz Godzina, Minuta, Sekunda, Ułamek sekundy, Wskazówka Wielka, Mała i inni.

ZŁOTA RADA

Miłuj cnotę, szanuj wiarę,
Nie używaj ponad miarę,
Kochaj bliźnich jakby siebie,
Już na ziemi będziesz w niebie!

Józef Stańczewski

Kącik młodego poety Śmiejmy się...

Rymy częstochowskie.

Unikać należy t. zw. rymów częstochowskich, t. j. rymów pozornych, jakie np. spotykamy w ludowych pieśniach kościelnych: mówił — narodził, mieście — ubóstwie, wygrał — migdał.

Niemniej jednak unikać należy t. zw. rymów gramatycznych, to jest utworzonych z form deklinacji i konjugacji, bo takie rymy są zbyt łatwe i pospolite, np.: -ego, -emu, -owie, -acy, -emi, -imy, -emy, -ała, -ały, -iła, -iły itp.

Wprawdzie u początkujących zupełnie wyeliminowanie tych rymów gramatycznych będzie prawie że niemożliwe. Spotykamy je bowiem częściej u dawnych naszych poetów, a nawet u Mickiewicza i Kochanowskiego.

Nie mógł ujrzeć i jednego,

Tak się wszyscy jeli złego:

Wszyscy Boga zapomnieli,

Dosyćby się sprzysiąc mieli.

(J. Kochanowski.)

Częściej jednak spotyka się te rymy w piosenkach i kołysankach ludowych:

Janeczka mała chusteczki prała,

Zmącona woda do niej leciała...

Bezwzględnie unikać trzeba rymu wymuszonego, co powstaje przez zniekształcenie ustalonych reguł gramatycznych, przez nienaturalną kolejność słów, lub ich kaleczenie, wreszcie przez użycie prowincjonalizmów — t. j. wyrazów zrozumiałych tylko w jednej części kraju, używanych w gwarach. Na koniec wystrzegać się należy wplatania do wiersza zwrotów pospolitych i ulicznych (nieszlachetnych).

W następnym kąciku omówimy pokrótce zasadnicze miary wierszowe, potrzebne do tworzenia wiersza.

Uciechy misjonarza

Siostra Misjonarka, doglądając w kościele podczas modlitwy do Matki Boskiej swoje małe sieroty i widząc jedną, stojącą zdala, rzecze:

— Zuzanno, zmów trzy „Zdrowaś Marjo“ do Matki Boskiej.

— Zuzia zwraca na Siostrę swe wielkie oczy, ale nadal stoi i milczy.

— Czy nie słyszysz? Zmów trzy „Zdrowaś Marjo“.

— Maleńka jeszcze bardziej wytrzeszcza oczęta, ale znów stoi bez ruchu.

— Dlaczego nie chcesz odmówić trzech „Zdrowaś Marjo“ do Matki Boskiej? zapytuje Siostra, a na to Zuzia ze łkaniem:

— Siostró... ja umiem tylko jedno „Zdrowaś Marjo“...

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Mały Jurek wydaje nieludzkie okrzyki i rozbija wszystkie swoje zabawki.

— Cóż to znaczy? — pyta matka.

— To jest trzęsienie ziemi.

—o—

DOBRZE ZROZUMIAŁA.

— Proszę sobie wyobrazić mamó! U Iksińskiego zmarły jednego dnia naraz cztery osoby!

— Skądże to wiesz?

— Czytałam wyraźnie w gazecie: Nasza ukochana żona, siostra, matka i ciotka...

—o—

ZNAJĄ SIĘ...

Na statku „Pułaski“ płynącym do Ameryki, jedzie za pracą w „obce strony“ wieśniak Maciek z żoną i dwojgiem dzieci. Dzieci stoją przy burcie i przyglądają się morzu. Naraz wołają:

— Mamó! Tato! Jaki tu rekin płynie!

— Cicho, dzieci! — rzecze zbliżający się ojciec, patrząc na wskazany punkt — to przecież wieloryb.

— Co mi tu będziesz dzieci bałamucić, kiej sam nie znasz — woła przybyła już za ten czas z głębi pokładu, żona — to jest śledź kochane dziatki!

A na to przechodzący marynarz:

— To kawałek drewna z rozbitego jakiegoś okrętu.

—o—

TEŻ ODMIANA...

— Jak można odmieniać: „Ja się boję“?

— Odpowiedź:

Ja się boję

Ty się lękasz

On drży

My dzwonimy zębami

Was febra trzęsie

Oni są w strachu.

—o—

Dziecko chińskie z ochronki mówi do siostry misjonarki:

— Powiedz mi, dobra siostró, czy ukarałabyś mnie za to, czegom nie uczynił?

— Pewnie, że nie.

— A to dobrze, bo nie zrobiłem zadania!

—o—

WIE O CO CHODZI.

— Zosieńko, czemuż tak bijesz tego biednego, małego kotka?

— A, bo on ma takie brzydkie przyzwyczajenie, proszę cioci — pluje sobie na łapkę i smaruje tem sobie po pyszczku.

—o—

MAŁY ZNAWCA.

— Tatusiu, a jak długo może żyć słoń?

— Ze sto lat.

— A jak długo może żyć lokomotywa, która jest też taka duża jak słoń?

— Ze trzydzieści.

— Już wiem dlaczego. Za dużo pali.